

Całe moje życie mieszkałem w tej miejscowości. Była to wioska na uboczu, typowo farmerska, jednak nie bazująca na jednej czy dwóch wielopokoleniowych rodzinach. Mieliśmy nawet sklep i kowala, szkółkę dla dzieci, mały bar, jak również osobę zajmującą się naszymi chorobami, o ile nie wymagały szpitala – pannę Gobbins. Celowo nie nazywam jej lekarką, ale też nie zachorką (choć większość jej kuracji bazowała na ziołach) – była to dyplomowana pielęgniarka, która spędziła gros swojego zawodowego życia w sporym szpitalu w Pigeon Forge. Pochodziła stąd i tu wróciła, aby zaopiekować się swoją niedołęzną matką i naszymi boleściami.

Stary Henry miał dom na uboczu od drogi prowadzącej do naszej wioski, nieco pod górę, ukryty za szpalerem drzew zdziczałego sadu. Nie był lubiany we wsi, a jego własne dzieci rozpiechły się po świecie, czy to z powodu jego parszywego charakteru, czy też szukając kariery innej niż rolnika hodującego co rok kukurydzę. Dość powiedzieć, że gdy odszedł, to poza pastorem z sąsiedniej, większej wsi (gdzie był cmentarz) żegnało go może kilka osób. Widać wyprawa te dziewięć mil konnym wozem była bardziej nużąca, niż satysfakcja z tego, że moment przykrycia przez ziemię tego typu można było zobaczyć na własne oczy. Nie pamiętam, kiedy dokładnie, ale z pewnością kilka lat później, kiedy już moje dzieci nie były ciągle upapranymi bobasami, przy półce na kanki z mlekiem na drodze do starego domu Henry’ego pojawił się jego porzewiały rower, jak również napis – strzałka na drewnianej tabliczce przybitej do drzewa – „Desmond Tisawarga – lekarz”. Nazwisko nie miało związku z poprzednim lokatorem i brzmiało mocno egzotycznie. Wzbudziło naszą ciekawość, którą zaspokoiliśmy obserwacją z posesji panny Gobbins, jako że jej płot graniczył z domem Henry’ego, a wysoka, wcale nie koszona trawa i drewniane, dość gęste szczeble ogrodzenia gwarantowały prywatność.